

wspomina o tych chwilach. Dalej, jak wśród ognia artylerii po ostrzeliwanym terenie gonił i gdy pocisk wybuchł, zbierał aluminiowe „zegarki“ pocisku, z których robił pierścionki pamiątkowe. „I o mało raz mnie nie zabiło“ — mówi z miną żaka szkolnego, przynoszącego do domu zły stopień.

Kończy opowieścią wzbudzającą śmiech, jak kolega jego wybrał się z nim na połów aluminiowych „zegarków“ i znalazł piętnastocentymetrowy pocisk, który, upadając, nie eksplodował, wrył się tylko w ziemię. Wiedział o tem dobrze, gdyż nasi komendanci wciąż ostrzegali, że pocisk musi poleżeć parę dni nienaruszony, zanim igła środkowa od ziemi nie zawilgnie i rdzą się pokryje, poczem dopiero można rozdzierać nabój, z zachowaniem wszelkich środków ostrożnościowych. Ba, ale co im tam gadać! Oni już umieją, wiedzą, jak się z tem obchodzić. Więc kolega pocisk wygrzebał z ziemi, wziął pod pachę, jak cielaka i idą do kompanii. W drodze natrafiają na oddział austriacki, którego oficer zatrzymuje ich i pyta, skąd pocisk.

— Strzelali, upadł, bierzemy go rozebrać!

Oficer zwymyślał ich za lekkomyślność i kazał wrzucić pocisk do bagna, dając im eskortę swoich żołnierzy, aby nie było wypadku.

— Maszerują wokoło nas w przyzwoitej odległości — śmieje się feljetonista pogadanki wieczornej — starzy pospolitacy i dusza im na ramieniu siedzi. Nieśliśmy naprzemian. Za każdą zmianą pospolitacy odsuwali się na przyzwoitą odległość, wreszcie dochodzimy do jeziora. Pospolitacy o trzysta kroków od nas, a jeden krzyczy, by wrzucić do wody, poczem szybko padną na ziemię i za wzgórze się skryć. Kolega rzucił, ale, mimo rady pospolitaków, ciekawość nas brała, jak to we wodzie wybuchnie i może niedaleko gdzie „zegarek“ upadnie.

— I cóż się stało? — pytają ciekawie.

— Nic. pocisk wpadł w bagno jak cielak, nie eksplodował. Rozglądamy się za pospolitakami, a jeno chmury kurzu wskazywały, że dopełniwszy rozkazu, biegiem podążyli zdać raport komendantowi.

— Bardzo im się spieszyło! — śmieją się słuchacze — zapraszając feljetonistę do piecyka.

Kronikę prowadzi kilku naraz, co tam kto skreślił, dostał karę, kto ubył lub przybył, służba jaka czeka — słowem cały los żołnierski w kronice tej

wystawiony bywa. Dziś kronika ożywiona, wróżby o zmianie terenu, o jakichś wieściach ze świata, które sercem ściskają z wesela.

— Wiecie? — prowadzi rozmowę jeden ze słuchaczy, z rozognioną twarzą — mamy jechać na „Hinterland“ i tworzyć armię polską, gdyż...

— Co? Jak? Gdzie? — głosy się podnoszą, gdyż wiadomość ta, z serca wyrwana, rozgrzewa krew, rozpala miłość Ojczyzny.

Okazuje się, że „wróżbita“ coś, gdzieś słyszał, że dzwonią, ale nie wie, w jakim kościele, zatem pewne niezadowolenie i niewiara w żadne wróżby i nadzieje, póki się coś realnego nie uchwyci.

Skończyła się ożywiona kronika, już jakiś „łapiduch“ ostatnie chwile opowiada zabitego w boju kolegi, pytają go chytrze, czy on go pochował, zatem może ma zegarek po nieboszczyku do sprzedania, lub parę dobrych butów, co „łapiducha“ wyprowadza z równowagi i kłócić się poczyną, odcinając się kolegom złośliwie. Wiedzą wszyscy, że to figle, jednak sanitaryusz zgniewany jest za posadzenie, no ale cóż winna młodość, że figlarną jest — tłumacz mu wkońcu.

Drzwi raptownie się otworzyły, kilku żołnierzy z hałasem i krzykiem ziemiankę kucharza ze „Schweiz“ obsiadło.

— Jak się macie, urlopniki?

— Skąd droga łaziki? — witają ich głosy radosne, spragnione nie tak samego widoku kolegów, jak wieści ze świata.

To już nadzwyczajny dodatek żywego dziennika żołnierskiego.

Krzyżują się pytania bezładne, stolice, miasta, wioski, skąd „łaziki“ przybyli, żywo bywają omawiane, słowem, nadzwyczajny dodatek poruszył publiczność do głębi i każdy chwycić chce dla siebie choć parę słów.

Przybyła wieczorna poczta ciszy, na chwilę wrzawę — misterya się teraz odbywają, odczytywanie słów pisanych, przybyłych z różnych stron od ukochanych. Oblicza smutkiem się pokrywają lub weselem — zależnie, co kartki i listy zawierają.

Potem żywsza już dyskusya, bardziej bezładna. Wszyscy by chcieli naraz swoje smutki, radości, myśli wyśłowić — i jak ma się dojść z tym do ładu?...

Późna już noc...

Szum lasu, niby wodospadu spływ, słyszeć się daje raz silniej, drugi raz przycicha, lub miesza się z wystrzałami karabinów i armat z różnych stron...

Już i kucharz ze „Schweiz“ w całym rynsztunku swoim osmolonym wyciąga się na deskach twardych, sennie mrucząc do skupionych koło kominka:

— Iłżcie-ta spać cholera, o czwartej rano muszę wstać, dość się już pyskami naklepałicie, cholera.

Prostuje się, jak nieboszczyk na marach, sen nim owładnął, mruczy urywane słowa pod nosem: „Żeby to Polska była — jak Schweiz“.

Źgień przygasa...

Żegnają się wzajemnie, przepowiadając co tam w nocy może nagle wypaść, czy nie będzie bombardowania artylerii — i spać będą mogli spokojnie.

Wreszcie wychodzą...

Coraz ciemniej w ziemiance! Ogienek jak lampka oliwna, dopalając się w skalnej grocie pustelnika, tkwi jeszcze, trzęsie... kona, jak żywot ludzki, uciekający z ciała podziurawionego kulami, aż wreszcie prysk ostatni i zagasa...

Idzie ciemna noc, może ostatnia niejednego z nas, może ostatnia nasza... Gotowiśmy — czy kula ciała przewierci, czy granat z ziemianki grób uczyni i nas pogrzebie... gotowiśmy... bo za Wolność...

Ot, i żywy dziennik żołnierski — przy kominku wieczornym.

Nie jest ci on, ani z góry obmyślany, ani w artykułach porządkiem umieszczony — tylko trzeba się w te bezładne słowa uważnie wsłuchać i w ramy „dziennika“ wkroić... zrozumieć te wszystkie tęsknoty i pragnienia.

Zatem nigdy się z Wami i Polską nie rozłączamy, mimo, że raz w pustynnej Bessarabii, śnieżnych Karpatach — drugi raz w puszczech i bagnach Wołyńskich i Bóg wie gdzie jeszcze — gdyż wieczną prawdą jest:

Że nie odległość człeka oddziela — lecz myśli!

Stanowisko drugiej brygady... 14 marca 1916.



Z polskich pobojewisk: Szczałki zbombardowanego domu w Gorlicach.